



# pokalanie



piotr czerwiński



Redaktor prowadzący  
*Ewa Niepokólczycka*

Redakcja  
*Maciej Korbasinski*

Redakcja techniczna  
*Lidia Lamparska*

Korekta  
*Jadwiga Piller*  
*Elżbieta Jaroszuk*

Wszelkie podobieństwo postaci, miejsc, zdarzeń do rzeczywiście istniejących jest przypadkowe i przez Autora niezamierzone.

Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., 2005, 2009

Świat Książki  
Warszawa 2009

Świat Książki Sp. z o.o.  
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie  
LITERA

Przygotowanie  
Fabryka Wyobraźni  
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1952-5  
Nr 45018

*Nie dedykuję tego nikomu.  
Nie będzie też cytatów z mądrych pisarzy.*

motto:

*Wszystko już było.*

drugie motto:

*Nie ma rzeczy niemożliwych. Są tylko niemożliwi ludzie.*

# Zbyt długi prolog

Ta książka jest ordynarna, porąbana, ma zbyt długi prolog i opowiada o miłości, jakby ktoś nie zauważył. A także o pijaństwie, bo pijaństwo i miłość to bardzo wdzięczne tematy na książkę. Zaczyna się nieciekawie, ale potem się rozkręca. Miałem od cholery pomysłów, jak zacząć ją pisać. To wielka odpowiedzialność, zacząć książkę. Zwłaszcza taką jak ta. Kombinowałem, żeby może zacząć jakoś kontrowersyjnie albo przynajmniej szokująco, potem przyszło mi do głowy, żeby smutno, a jeszcze potem, że wesołowato. I tak dalej.

Ze trzy dni szwendałem się po mieście, mając w głowie wszystko, ale to absolutnie wszystko, co chcę napisać w tej książce. Wszystko oprócz początku.

Ale ona zaczęła się pisać sama. W telewizji powiedzieli, że na festiwalu teatralnym dekoracja zabiła aktorkę. Nawet nie wiem, kto to był. Nie bardzo mnie zresztą obchodzi, kim była ta kobieta. Zabił ją metalowy kontener, który służył aktorom do akrobacji. Kupa blachy runęła na nią i cyk! Koniec pieśni. W pewnym sensie babka umarła za sprawę, że się tak wyrażę. Ten kontener zwałił się również i na moją głowę.

Trudno o lepszy początek książki.

Myszę sobie, że to, co tutaj wysmażyłem, to taki mały pomnik nagrobny tego odmóżdżonego pokolenia, które zaczęło się gdzieś przy roku tysiąc dziewięćset siedem-

dziesiątym i zawisło między dwoma epokami jak pijaczek na barierce. Nie było nas jeszcze w komunizmie, a w kapitalizmie już nas nie będzie. Wtedy było dla nas o wiele za wcześnie, teraz jest dla nas o wiele za późno. Tak sobie myślę, żeśmy byli błędem w matriksie albo coś w tym rodzaju. W końcu zleciał na nas kontener i ostatecznie zaciukał. Takie rzeczy zawsze przychodzą z zaskoczenia: młodość, młodość, nowe portki, nowe laski, nowe płyty, trele-morele, młodość, młodość i nagle jeb. I od tej pory żyje się z dnia na dzień, i dostaje paranoi od spraw banalnych, które kiedyś wyłącznie śmieszyły, i coraz częściej mówi do siebie o braku sensu, braku sensu czegokolwiek, i bardzo się o ten brak sensu boi, a on nabiera coraz bardziej realnych kształtów.

Nie ma co, nieźleśmy upadli. Tak jak wszystko, co ma jakąś duszę. I dlatego bez szemrania można o nas mówić jak o pokoleniu. Bo my jesteśmy historią. Już nas nie ma.

Bardzo dużo przeklinam. Kiedyś tak nie było, ale w pewnym momencie wszystkie inne słowa przestały mieć właściwą moc. Mam nałogowe podejście do języka; zarzucanie lekkich słówek zupełnie mnie już nie kręci. Muszę spawać mocne, twarde wyrazy. Słowa są zbyt giętkie, by im pozwolić na tremę. A najbardziej giętkie są przekleństwa. One nas kiedyś zegną do reszty.

– Zajebałem się w tobie – powiedział kiedyś dresiarz do swojej dresiary. – Zajebałem się w tobie, że chuj.

Mogłem nagrać ten wyziew. Noszę w torbie dyktafon. Mogłem nagrać, bo teraz nikt mi nie uwierzy, że dresiarze wyznają tak wielką miłość swoim dresiarom.

Przekleństwa są czasami jak prozac. Pozwalają zabić cały smród dookoła. Przekleństwa to przecież trzon repertuaru wszystkich pismaków, a ja jestem pismakiem, chociaż dla przyzwoitości mógłbym zachować te rewelacje dla siebie. Mógłbym dać sobie siana i niczego nie pisać; miałbym dzięki temu święty spokój i niezmacony niczym

dozgonny abonament w klubie starzejących się nudziarzy z kredytem konsumpcyjnym i pięciokilową nadwagą. Ale nic z tego. Stało się. Mam brzuch napchany trzydziestoma latami wyjątkowo kalorycznego życia i nic mnie nie powstrzyma, żebym nie machnął tego pawia na wasze trendowe porcięta od Diesla, wyprasowane przez stylistę o plastikowych włosach.

Dla was, gdy czytacie te słowa, to już przeszłość. Ja jestem starszy albo mnie już wcale nie ma, a świat, który opisuję, przeszedł do czasu zaprzeszłego, którego również nie ma już od dawna w języku polskim. Urodziłem się w zupełnie innej galaktyce: trzydzieści lat temu w mieście stołecznym. Nikt mnie nie pytał o zdanie w kwestii lokalizacji. Kraj Bulanda Country znajdował się centralnie nad Wisłą, The Vistula River, czyli tam gdzie teraz. Był wtedy rosyjskim fantem, który Churchill odpalił Stalinowi podczas słynnej przedostatniej wieczerzy w Jałcie, w roku jeden dziewięć cztery pięć. Tych dwóch tetryków, a wraz z nimi jeden ważniak z Ameryki, podzieliło się światem, jak gdyby to był tort urodzinowy pięciolatka, a oni zasranymi dziećmi, którzy biją się o każdy kawałek. W tej materii niewiele zmieniło się na świecie od tamtej pory. Raz na jakiś czas jeden obleśny, opętany błazen konkluduje, że będzie mieć władzę nad światem. Toczy mądre dysputy z innymi opętanymi błaznami, którzy myślą podobnie. Jedni wierzą w Najwyższego albo Najniższego, inni w Wielkiego Ciosanego Bożka, jeszcze inni w Elektroniczne Zbawienie. Jedno gówno. Wszyscy chcą zawładnąć galaktyką.

Gdy miałem sześć lat, Polak wsiadł do Sojuza i wystrzelili go w kosmos. Gdy miałem dziewięć lat, wiejskie chłopaki na spłaszczonych ruskich tankietkach wjechały do mojego miasta, by bronić władzy ludowej. Kompletnie nie pamiętam, jak nazywały się te ruskie tankietki,

choć w dzieciństwie byłem chodzącą encyklopedią, jeśli idzie o takie osobliwości. Zupełnie jakby to było do czegoś potrzebne, znałem kryptonimy wszystkich ruskich, amerykańskich, niemieckich, angielskich i francuskich tankietek, jakie wyprodukowano na co najmniej pięćdziesiąt lat przed moim urodzeniem. Ale dorosłem i nie pamiętam. Chuj bombki strzelił. Wracając zaś do obrony władzy, to teraz każdy, kto miał wtedy dziewięć lat, zawodzi patriotycznie, że komuniści nie pozwolili mu oglądać *Teleranka*, bo była niedziela rano. I że ta zniewaga wymaga krwi, i że dobrze im tak, że padli, i tak dalej.

Mnie wciąż wydaje się, że to była sobota. Poranny program dla dzieci w sobotę nazywał się *Sobótka*. Nie nazywał się *Teleranek*. Tak swoją drogą, jedno i drugie to były nieobliczalne chały, w których pociotkowie decydentów machali łapami do kamery i nic z tego nie wynikało. Nic nie wynikało również z gazet, w których świat wyglądał pięknie i spełniał wymogi kolejnego zjazdu partii. Dzisiaj zostało nam to samo, tylko zjazdy odbywają się w innej części planety. Zaczęliśmy mieć nowego boga. Zaczęliśmy bełkotać do niego modły, zapisane na wewnętrznych stronach opakowań od czipsów, wraz z regulaminem konkursu, w którym można wygrać dodatkowe siedem kilo, jeśli zeżre się sześć.

Pojawiła się upragniona cola w puszkach, którą dotąd można było dostać tylko za dolary w sklepach, gdzie wszystko było za dolary, chociaż nikt w tym kraju nie zarabiał w dolarach. W fabrykach pojawiła się upragniona marksistowska alienacja pracy. Na ulicach pojawili się upragnieni bandyci z amerykańskich filmów. Mieli upragnione amerykańskie kije bejzbolowe. W telewizji pojawiły się upragnione amerykańskie szampony i szampany. I nie wiadomo co jeszcze. Nareszcie byliśmy wolni.

I jeszcze jedno. Nie mam nic przeciw Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej. Żeby była jasność w temacie.

To dla mnie kraj daleki i daleki naród, czasem tylko irytujący. Jestem skłonny ich nawet lubić, choćby za to, że krążą na ich temat tak samo krzywdzące stereotypy jak o nas. Wygląda więc na to, że jesteśmy podobni. Na użytek amerykański wypada zauważyć odkrywco, że nie wszyscy Polacy są debilami. Niestety, do Ameryki masowo przedostają się debile, których jedynym marzeniem jest zmywać garnki albo prać brudne gacie bez zezwolenia na pracę. W ogóle jest to raczej regułą; debile dysponują największymi zasobami pieniędzy. Są awangardą tego narodu. Mają najlepsze fury, jeżdżą na wczasy za granicę. Wciąż jednak pozostają debilami i to jest najbardziej bolesne, że tylko naszych debili mają do dyspozycji obywatele innych, być może nie mniej zabawnych narodów. Widziałem na Krecie Polaka, który darł się po polsku do ulicznego sprzedawcy owoców:

- Ty, kurwa, nie rozumiesz, jak do ciebie mówię?!!!
- Proszę wybaczyć. Ja naprawdę nie rozumiem. Podać dwa kilo? – odrzekł grecki sprzedawca zupełnie zrozumiałą angielszczyzną.

Gdy byliśmy zorientowani na Wschód, uczyliśmy się pilnie rosyjskiego. Od kiedy sprawy zmieniły obrót, w stanie Bulanda wszyscy maltretują lenghidz amerykański. Dzięki Bogu ja wybrałem odwrotnie. Jako czternastolatek zapisałem się do Całkiem Niezłej Szkoły of English i przez pięć lat katowali mnie tam Szekspirem. Dzięki temu na imprezach mogłem bajerować pijane laski na monolog Hamleta albo widowiskowe pojechanki z Percy'ego Shelleya i Williama Blake'a. Dlatego dzisiaj odróżniam produkt plejsment od umieszczania produktu, a trzeba zauważyć, że to dość rzadkie. Moją mozolnie zdobytą umiejętność mówienia po angielsku mogę zostawić sobie na rozmowy z Anglikami, kiedy spotkam ich gdzieś przypadkiem. Ale to nie ja rozmawiam teraz z Anglikami; tacy jak ja niezbyt

często widują tu obcokrajowców. Rozmawia z nimi ich najbardziej oddana niewolnica: gotowa na wszystko, klęcząca na kolanach wielomilionowa hołota, której wmówiono na kursach marketingu, że należy klękać przed nowym panem. I w ciemno przytakiwać, cokolwiek pan każe.

Marketing. Następne słowo, którego nikt tu nie potrzebował, bo my też mamy czasowniki odrzeczownikowe i też mamy formę imiesłowu. Tak przynajmniej mi się wydaje w chwili, gdy piszę te słowa. W momencie, gdy wy je będziecie czytać, może już nie będziemy mieli tak skomplikowanego języka. Jakiś specjalista od marketingu w porozumieniu z jakimś stylistą czy innym palantem nagle stwierdzą, że zbyt polski język polski jest nietrendowy, bo jest zbyt polski. Och sorry, bejbes. Nasza ustawa o ochronie języka to nie to samo co drakońskie nacjonalizmy z Quebecu.

Nieprzebrana rzesza niedouczonej debili, pospiesznie wepchniętych do tej kapitalistycznej sokowirówki, wtyka angielskie słowa tam, gdzie nie umie wetknąć polskich. I zabawa kręci się na całego. Nikt już nie rozumie po polsku. Przybywa także takich, którzy nie rozumieją w ogóle niczego. Rozumie za nich system operacyjny albo inny cybernetyczny samozadawalacz. Któregoś dnia socjolingwistyczny majak Anthony'ego Burgessa stanie się codziennością, a nawet przeżytkiem. Czterdzieści lat po *Mechanicznej pomarańczy*, w kraju kwitnącego jabola, centralnie The Vistula River, żyje kilkadziesiąt milionów Aleksów, którzy mówią z wyrazem twarzy oglupieńca: „Sorry, men”. I klikają w mauseped, i sejwują kopi, i snifują kul staf, i mają lajfstajlowe ciuchy i oldskulowe buty. W firmach okejuje się decyzje, zamiast je zatwierdzać, w drukarniach drukuje się maczprinty zamiast szczotek, na mityngach brifuje się imidżowe topiki, w ogólnym przeświadczeniu jest zajebicie. I nikt nie pamięta, że słowo „zajebisty” jeszcze dwadzieścia lat temu znaczyło w języku polskim umysłowo

chorego, znanego lepiej jako „pierdolnięty”. Kto wie, może za następne dwadzieścia lat słowo „pierdolnięty” będzie oznaczało geniusza, słowo „kurwa” będzie synonimem zapomnianej już „bizneswoman”, „pierdolić” zaś będzie podstawowym czasownikiem tej genialnej nowomowy, podobnie jak słowo „fuck”, które podbiło Amerykę i nareszcie jest w Polsce. Skoro słowa potrafią zataczać tak nieobliczalne koło, to nie zdziwię się, gdy któregoś dnia słowo „zajebisty” zrobi się całkiem nietrendowe, a pałeczkę po nim przejmie słowo „chujowy” i będzie wtedy znaczyło coś absolutnie fantastycznego. I na ten przykład zamiast mówić „ale masz zajebiste spodnie!”, analogicznie ludzie będą witali się okrzykami „Ła! ale chujowo dziś wyglądasz!”. Natomiast podjarany do granic absurdu idol młodzieży będzie darł gębę ze sceny jakiegoś trendowego festiwalu dla kretyków: „Jesteście chujowi! Kocham was!”. Na co ćwierćmilionowa widownia mruknie prawie jednogłośnie: „Ła! Jaki chujowy gość!”.

Albo superultrahiperzadowy stanie się jakiś inny przymiotnik, równie chamski i tak samo nielogicznie konotowany. Dyktatorzy słów z pewnością wymyślą jeszcze niejedno. Może zamiast „zajebistych” spodni już za dziesięć lat spodnie będą na przykład „pierdoliste”. Trendowy idol młodzieży będzie pierdoliście krzyczał na festiwalu, a na pierdolistych ultrahiperbillboardach ujrzemy hasło, które jakaś firma pierdoliście wykorzysta do kampanii promocyjnej swego nowego produktu: „Koniec z zajebistością! Bądź pierdolisty!”.

Ten kraj źle skończy. Więc chyba mogę przeklinać i opowiadać bzdury, skoro już i tak nie ma nic do stracenia.

Minęło grubo ponad ćwierć wieku, a ja żyję w okrucinach czasu na wielkiej szufli. Zamiatam na nią coraz więcej szkła i paprochów, śmieci, biletów, barowych rachunków, wydruków z bankomatu, opakowań po kondomach

i papierków po gumie do żucia. Codziennie wstaję w innym kącie, z innym kurzem i z inną historyjką z donaldówki, której sam jestem głównym bohaterem.

Czy ktoś jeszcze pamięta historyjki z donaldówek?

Dziś rano wybrałem sobie niszę numer dwa tysiące dwa, dzień, w którym piszę ósmą stronę maszynopisu mojej książki. Wstałem, mając trzydzieści lat, kredyt w banku, główniane perspektywy na przyszłość i jeszcze bardziej głównianą perspektywę przeszłości. Zacząłem dzień razem z radiem dla hołoty, która nie zna dnia bez markowych płatków z dodatkiem kwiatków, lajfstajlowego enerdży drinka i zwykłego proszku już w czterdziestu stopniach. Piłem rozpuszczalną syfiastą kawę, kupioną na bazarze. Nie miała etykiety. Była w brzydkich papierowych workach. Jakie to nietrendowe. Jestem cholernie mało trendowy. Wyleniały heteroseksualista, bez żółtych włosów, bez plastikowych bojówek. Bez torby didżejki. Bez lampasów na ubraniu. Jem szynkę. Nienawidzę techno. Jestem absurdalnym durniem, który w absurdalnych czasach pisze absurdalną książkę. Durniem, który nie widzi, że trzydzieści siedem milionów nieszczęsnych durniów w tym nieszczęsnym kraju w ogóle nie czyta książek. Jedyne książki, które się sprzedają, opowiadają o durniach językiem durniów. A będzie jeszcze gorzej. Obawiam się, że nie widzę jakoś trzydziestoletnich, zmęczonych życiem didżejów, którzy siedzą i piszą choćby najbardziej grafomańskie książki. Ale bardzo chciałbym się mylić.

Wstałem więc dzisiaj rano jako jedyny czarny pionek na planszy pełnej białych, nieprzyzwoicie trendowych skurwieli, którzy myślą, że w swoich plastikowych bojówkach zawładnęli światem.

Tacy jak ja są na indeksie. Nie noszą lajfstajlowych ciuchów, więc cerberzy w modnych klubach nie chcą ich wpuścić. Tacy jak ja mają szafy z ubraniami sprzed dziesięciu lat; wkrótce będą one szafami z ubraniami liczą-

cymi lat dwadzieścia. Tacy jak ja nie mają już pomysłów na życie, a życie nie ma już pomysłu na nich. Tacy jak ja stali się bohaterami nowej klasy: wykształconych, czytanych, wygadanych, powiedzmy, że dobrze zarabiających, postmodernistycznie odzianych wyrzutków społecznych. Mamy do wyboru: kaptcie i telewizor albo ostateczną degrengoladę. W świecie, w którym eros zastąpił etos, a money zastąpiło honey, nie ma już dla nas miejsca.

Niniejszą książkę wypada zatem czytać w stanie permanentnego emeryckiego wkurwienia, śmierdzącego na kilometr dowolnym etosem, byle tylko wkurwienie nie ustępowało. I dobrze. Może chociaż któreś z was przekuje to wkurwienie na rebelię. Dla mnie jest już za późno, więc będę ją czytywał wyłącznie z sentymentem. W końcu to moja pierwsza. Staram się, żeby to była bardzo towarzyska książka. Żeby wystarczyła za kolegę, a może nawet za dziewczynę. Dziś są takie trudne czasy, że mało kogo stać na kolegów i dziewczyny. Kupno książki albo butelki wódki jest o wiele tańsze.

A poza tym to marzy mi się dzień, w którym ktoś powie, że ta chamska książka śmierdzi ulicą i że to kupa gówna, i sztandarowe dzieło wielkiego kultu debilizmu. W myśl którego być może już niedługo jakiś trendowy spiker wrzaśnie z telewizora w rytmie modnej muzyki: **CHCĘ BYĆ GŁUPI! CHCĘ BYĆ TAKI GŁUPI JAK WY!**

W przeciwieństwie do innych bohaterów pokoleniowych opowieści, my nigdy się nie zbuntujemy. Dorosli wzięli nas z zaskoczenia: pozwolili nam dorosnąć. Już na zawsze będziemy frajerami. Przejdziemy do historii jako pierwsze pokolenie, które nie dało sobie szansy i nie zbuntowało się przeciwko poprzedniemu. Tyle miało w sobie strachu o zwykły, debilny byt, kupiony przez kredyty, wydawców, reklamodawców, dostawców i innych oprawców. Państwo przyszli, obejrzeni, wybrali, sprywatyzowali

nas. Kupili nas i wyruchali nasze marzenia, plany i ambicje. Zostawili nam tylko numery do siebie, swoich kont i infolinii.

A my zostawiliśmy sobie numery do telefonów zaufania, pizzy na wynos i korporacji taksówkowych, które przywiozą albo nas do wódki, albo wódkę prosto pod nasze drzwi.

W promocji jesiennej lub zimowej.

Kiedyś, dawno temu, gdy byłem młodszy i miałem o wiele zdrowszą wątrobę, bardzo chciałem napisać książkę. Pisanie zawsze błąkało się w sferze moich żywotnych zainteresowań. Chciałem zatem napisać ładną książkę, która miałaby fabułę, bohaterów i przesłanie. Byłaby treściwa i ambitna. I przez to poczytna. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, jak wielkimi krokami zbliżają się czasy, gdy poczytne książki, popularne czasopisma, modne płyty i kultowe filmy są o niczym i nic niewarte.

Miałem w tamtych czasach kolegę, dziś tak samo straconą dziwkę jak my wszyscy. Kolegę o pseudonimie Lolo. Dwudziestego czwartego września dziewięćdziesiątego czwartego, czyli w czasach, gdy było jeszcze trochę bardziej normalnie niż dziś, kolega Lolo wyśmiał mnie, gdy powiedziałem mu, że chciałbym napisać książkę.

– Ty durniu – powiedział mi wtedy Lolo – ty napisz taką książkę, którą by ci wydrukowali.

Lolo wiedział, że szanse na druk mają tylko skandalizujące paradokumenty o dawaniu dupy albo innej aferze politycznej, ostatecznie przedruki jakichś trzecioligowych grafomanów, obowiązkowo z Ameryki, którzy u nas stawali się automatycznie kultowymi pisarzami. Lolo wiedział zatem, że ja myślę o czymś zupełnie niedrukowalnym. Ale oto nadeszły nowe, lepsze czasy. Powstaje książka na ich miarę. Mak Książka.

Masz więc, Lolo, czego chciałeś. Oto afera. Wiek dwu-

dziesty pierwszy. Kolejna jesień, naznaczona jesiennymi promocjami. Jesienne abonamenty na jesienne usługi. Kolejna wojna w telewizyjnych *Wiadomościach*. Jesienna dziura w czasie. Oto afera. Największe masowe sprostytuowanie w historii ludzkości. Myślę, że wszystko, co napisałem kiedykolwiek wcześniej albo napiszę kiedykolwiek później, zostało lub zostanie napisane dzięki Lolowi, który dwudziestego czwartego września dziewięćdziesiątego czwartego powiedział do mnie:

– Ty durniu.

Masz więc, czego chciałeś, Lolo. Przygłupiasty proroku nowych czasów.

Jedziemy dalej.

***Pokalanie* to literacka wersja *Autobiografii* Perfectu  
wypowiedź internauty**

**Przyszła pora na podsumowanie pokoleniowych  
doświadczeń dzisiejszych trzydziestolatków.  
Z sukcesem podjął się tego Piotr Czerwiński.  
To bardzo udany i dobrze rokujący debiut autora,  
który wie, po co pisze.**

**Leszek Bugajski**

Napisana ostrym, wyrazistym językiem, ironiczna i pełna pasji debiutancka powieść nie tylko dla czytelników z opisanego pokolenia.

Od dzieciństwa lat 70., przez stan wojenny i pierwsze romanse, festiwale w Jarocinie i szalone wybryki młodości, aż po wejście w dorosłość i dwuznaczną moralnie pracę dziennikarza.

